

Autor: prof. dr hab. Jadwiga Kiwerska

## Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA

Strategia Bezpieczeństwa Narodowego jest jedną z ważniejszych, obok orędzia o stanie państwa, prezentacją stanowiska urzędującej administracji w sprawach kluczowych dla państwa amerykańskiego, w tym przypadku jego polityki zagranicznej i polityki bezpieczeństwa. Bardzo często stanowi ona wykładnię doktryny obowiązującej następnie w amerykańskiej strategii zewnętrznej. Tak było, żeby ograniczyć się tylko do obecnego stulecia, ze Strategią Bezpieczeństwa Narodowego przedstawioną we wrześniu 2002 r., która przeszła do historii pod nazwą doktryny Busha. Kolejna za czasów George'a W. Busha koncepcja strategiczna z marca 2006 r. nie miała już tak przełomowego znaczenia i raczej – poza specjalistami – nie stała się tematem tak zażartych dyskusji i polemik jak poprzednia.

Istota sprawy tkwi bowiem w tym, czy prezentowane stanowisko w sprawie bezpieczeństwa narodowego zawiera jakąś ideę przewodnią, jasno, wyraziście określone metody i środki działania, jakościowo inne, a nawet daleko odbiegające od dotychczas uprawianej taktyki. Taką właśnie strategię wyznaczała „doktryna Busha”, która – zdaniem wielu analityków - stała się czynnikiem „rewolucji” w stosunkach międzynarodowej. U jej podstaw legły wydarzenia 11 września 2001 r., które w sposób bezprecedensowy naruszyły amerykańskie poczucie bezpieczeństwa, przesądając też o politycznych wyborach administracji Busha. Wtedy bowiem strach wkroczył do świadomości Amerykanów w sposób, w jakim nigdy nie był w niej obecny i spowodował, że terroryzm uznano za największe wyzwanie dla Stanów Zjednoczonych.

Nr 40 / 2010  
07'06'10

INSTYTUT ZACHODNI  
im. Zygmunta  
Wojciechowskiego  
Instytut Naukowo-  
Badawczy,  
Poznań

Redakcja:  
Joanna Dobrowolska-Polak  
(redaktor naczelna),  
Marta Götz,  
Piotr Cichocki

Tak jak kiedyś walkę z komunizmem, tak po ataku na Amerykę wojnę z terroryzmem uczyniono treścią amerykańskiej polityki. Temu zadaniu podporządkowano również styl działania i taktykę, a te w dużej mierze określał charakter zagrożenia: trudny do zidentyfikowania wróg, niekontrolowany przez żaden rząd, choć korzystający z tajnego lub bezpośredniego wsparcia niektórych państw. Dyplomacja, prowadzona nawet z pozycji siły, wydawała się nieskuteczna w odniesieniu do terroryzmu, któremu - z powodu swego rodzaju rewolucyjnej polityki zagranicznej wyrosłej na fanatyzmie i nienawiści – obcy był kompromis.

Wojna z terroryzmem wymagała więc nowej taktyki. Wymagała też nowej doktryny, która określałaby środki i cele w tej walce. Stratedzy Białego Domu – neokonserwatyści - uznali, że zaatakowane Stany Zjednoczone powinny mieć swobodę działania, jeśli idzie o użycie siły. Tym bardziej że bezprecedensowy potencjał USA dawał im możliwości szybkiego i skutecznego uderzenia w różnych punktach świata. Dlatego w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego pojawiła się formuła uderzenia uprzedzającego potencjalną agresję, czyli wojna prewencyjna („preemptive strike”). Państwa, wielokrotnie w historii, podejmowały działania wyprzedzające, jednak po raz pierwszy uczyniono z tego oficjalną doktrynę. Amerykańscy stratedzy uznali, że w epoce rozprzestrzenia się broni o ogromnej mocy rażenia i w świecie „sprywatyzowanego” terroryzmu, gdy obowiązująca od zakończenia II wojny światowej polityka odstraszenia nie chroni już przed atakami, konieczne może okazać się działanie prewencyjne.

Kolejnym elementem „doktryny Busha” była możliwość zerwania z taktyką multilateralizmu, czyli działań wielostronnych. W minionym półwieczu Stany Zjednoczone realizowały swe cele w świecie poprzez przymierza, sojusze oraz instytucje o globalnym zasięgu. Prowadziły wprawdzie też działania „na własną rękę”, ale politycznym imperatywem Waszyngtonu było pozyskiwanie partnerów oraz tworzenie sojuszy w celu skutecznego stawiania czoła nowym wyzwaniom. Także działania militarne podejmowano we współpracy i najchętniej z mandatem ONZ. Tymczasem Strategia Bezpieczeństwa Narodowego z 2002 r. głosiła już wyraźnie, że Stany Zjednoczone są



gotowe współpracować z sojusznikami, ale zastrzegają sobie prawo do akcji samodzielnych - unilateralizmu. Zakładano też możliwość ignorowania wspólnoty międzynarodowej. Twierdzono, że Rada Bezpieczeństwa NZ odzwierciedla realia 1945 roku, nie spełnia też oczekiwań Ameryki, może bowiem sparaliżować jej działanie. Widząc nieskuteczność ONZ amerykańscy dyplomaci odmówili poparcia. Waszyngton miał postępować tak, jak zechce, dobierając sobie sprzymierzeńców w zależności od sytuacji – misja ma określać koalicję, a nie koalicja misję – i nie oglądając się na przyzwolenie wspólnoty międzynarodowej, ponieważ oznacza to ryzyko wiązania sobie rąk, a daje jedynie niewiele znaczący mandat polityczny.

Z kolei po błyskotliwym i – jak się wówczas wydawało - zwycięskim uderzeniu na Afganistan w ostatnich miesiącach 2001 r., stratedzy w Waszyngtonie umocnili się w przekonaniu o roli siły militarnej w działaniach zewnętrznych i nieograniczonych możliwościach amerykańskiego potencjału. Stąd w myśl „doktryny Busha” zamierzano je wykorzystać nie tylko dla obrony żywotnych interesów Ameryki, a zwłaszcza bezpieczeństwa, ale też w celu promowania światowego porządku, opartego na sprawdzonych wartościach, czyli – mówiąc najprościej – szerzenia demokracji. Dostrzegano w tym bowiem długofalowe rozwiązanie problemu terroryzmu.

W ten sposób nowa strategia administracji Busha wpisywała się w tradycyjne amerykańskie posłannictwo – misję naprawiania świata, o której swego czasu tak pięknie mówił prezydent Thomas Woodrow Wilson. To nawiązanie do wilsonizmu nadawało „doktrynie Busha” walor idealizmu, bliskiego prostemu Amerykaninowi z Oklahomy czy Idaho. Wojna prewencyjna, prowadzona w koalicji lub samodzielnie, z użyciem amerykańskiego potencjału militarnego – jeśli to konieczne – miała więc służyć nie tylko likwidacji zagrożeń, ale budowaniu i umacnianiu demokracji.

Trudno zaprzeczyć, że nowa strategia odzwierciedlała zarówno ducha czasu, jak i aktualne lęki i obawy. W jakiejś mierze odpowiadała też wymogom nowej epoki, która nastąpiła po rozpadzie dwubiegunowego porządku w świecie. Wcześniej wystarczała strategia



odstraszania, którą można było szachować Związek Radziecki. Teraz odstraszanie było nieskuteczne wobec przeciwnika nieposiadającego terytorium, którego musiałby bronić. Dyplomacja zaś okazywała się bezradna, gdy przeciwnik odrzucał jakiegokolwiek ograniczenie celów i dążył do całkowitego zniszczenia. Trudno też było jednoznacznie potępiać elementy idealizmu wyrażanych w hasłach krzewienia demokracji i wolności.

Z drugiej jednak strony, „doktryna Busha” była ową swoistą rewolucją w amerykańskiej polityce zagranicznej. Jej istota bowiem polegała na tym, że tradycyjne zagrożenia związane z rywalizacją mocarstw zostały w znacznym stopniu zastąpione przez groźbę terroryzmu i wspierających go reżimów z „osi zła”. Także główne elementy nowej doktryny potęgowały wrażenie odejścia od tej ciągłości w stosunkach międzynarodowych. Po pierwsze – koncepcja roli siły w polityce i wizja siłowych rozwiązań wydawały się sprzeczne z zasadami działania państw demokratycznych. Po drugie, „doktryna Busha” – choć nie wykluczała multilateralizmu i rozwiązań dyplomatycznych oraz legitymizacji prawnomiędzynarodowej – to jednak zakładała z dużym stopniem prawdopodobieństwa działania unilateralne, których uzasadnieniem będzie prawo do samoobrony. Po trzecie wreszcie, traktowana doktrynalnie wojna prewencyjna wprowadzała zamęt do jasnych zasad, gdyż była sprzeczna z prawem międzynarodowym, które sankcjonuje użycie siły w obronie własnej wyłącznie w razie faktycznego, nie zaś potencjalnego zagrożenia. Ameryka, uwalniając się od ograniczeń wynikających z prawa i z instytucji międzynarodowych, zmierzała zarazem do ograniczenia suwerenności państw, które mogłyby jej zagrozić. Istniała też uzasadniona obawa, że działanie wyprzedzające może stać się regułą stosowaną przez każde państwo, zależnie od sytuacji i potrzeb.

Interwencja Stanów Zjednoczonych w Iraku wiosną 2003 r. była dramatyczną i brzemienną w skutki manifestacją „doktryny Busha”, która właśnie w kraju nad Tygrysem i Eufratem poniosła klęskę. Dramatyzm sytuacji polegał nie tylko na tym, że USA uderzyły na Irak w wyraźnym osamotnieniu, nie posiadały też mandatu ONZ, ani nawet solidarnego wsparcia NATO. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby



Ameryka zdecydowała się na wojnę w takiej izolacji i przy tak ogromnym sprzeciwie w świecie. Przede wszystkim jednak okazało się, że siłowa zmiana reżimów nie rozwiązuje problemu i nie zmniejsza zagrożenia terrorystycznego.

Z kolei, uderzając na suwerenny kraj z przyczyn, które okazały się później tylko niepotwierdzonymi podejrzeniami, Stany Zjednoczone stworzyły niebezpieczny precedens. Potwierdzało się przekonanie, że oto USA inicjują nowy ład światowy, w którym one decydują za wszystkich, przesądzają, co jest legalne, a co nie, wypełniają rolę supermocarstwa w sposób arbitralny, siłowy i sprzeczny z obowiązującymi normami prawa międzynarodowego. Podczas gdy „twarda siła” Ameryki zdominowała światową scenę, budząc nawet przerażenie, to jej „miękką władzą” (moralne atrybuty państwa modelowo rozwijającego się) - tradycyjnie decydująca o sile amerykańskich wpływów w świecie - uległa deprecjacji. W efekcie USA straciły wiele ze swej atrakcyjności i przyzwoitości, nastąpiło zburzenie mitu o wyjątkowości Ameryki. Tak ważnego, jeśli chciało się realizować na arenie międzynarodowej misję demokratyzacji świata, o której mówili neokonserwatyści.

Niepowodzenia w Iraku, a także cały splot różnych uwarunkowań, w których kwestia osłabienia pozycji USA na arenie międzynarodowej odgrywała niebagatelną rolę, wymusiły pewną korektę kursu amerykańskiej polityki zagranicznej. Jej elementem była nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego, ogłoszona w 2006 r. Niewątpliwie mniej „bojowa” i bezprecedensowa niż ta sprzed 4 lat. Nie stanowiła też przełomu, gdyż powtarzała istotę „doktryny Busha”, czyli prawo Ameryki do pierwszego uderzenia, jeśli kraj ten znajdzie się w obliczu realnego ryzyka ataku. Także promowanie demokracji i wolności oraz walka z terroryzmem pozostały zarówno misją, jak i wymogiem bezpieczeństwa USA.

Z drugiej strony pojawiły się też zdecydowane nowe elementy, dowodzące pewnej zmiany w amerykańskim podejściu do polityki bezpieczeństwa, zwłaszcza taktyki unilateralizmu. W dokumencie akcentowano bowiem więzi z najstarszym sojusznikiem Ameryki – kontynentem europejskim, zbudowane „na wspólnocie wartości



i interesów". W tym kontekście ważne było również stwierdzenie, że „NATO pozostaje żywotnym filarem amerykańskiej polityki zagranicznej”. Zaś Unię Europejską określono jako „jedną z najsilniejszych i najbardziej sprawnych instytucji międzynarodowych”, a jej wysiłki na rzecz zbudowania „szerszej polityki zagranicznej i tożsamości obronnej” uznano za godne poparcia przez USA. *Last but not least*, w dokumencie podkreślono, że „dyplomacja będzie najsilniejszą preferencją USA”.

Odnosiło się to również do sprawy irańskiego programu nuklearnego, uznanego teraz za główne zagrożenie dla amerykańskich interesów i amerykańskiego bezpieczeństwa. Ogólne przesłanie było w tej kwestii jasne: wskazując na Iran jako na najgroźniejszego przeciwnika, Stany Zjednoczone nie sugerują unilateralnej akcji militarnej, jak było to w przypadku Iraku, ale – jak dowodziły fakty – stawiają nadal na wysiłki dyplomatyczne. Innymi słowy, administracja Busha nie chciała rezygnować z atutu, jakim był wizerunek władzy odważnej i zdecydowanej w obliczu zagrożeń. Dlatego w sferze deklaracji pozostała wierna „doktrynie Busha”, hasłom o promowaniu demokracji i wolności oraz walce z terroryzmem, jednak modyfikacja była już widoczna. Chociażby w tych miejscach, gdy ze szczególnym naciskiem mówiono o współpracy „z naszymi przyjaciółmi i sojusznikami”. Warto jednak podkreślić, że pomimo tych nowych akcentów w strategii z 2006 r., administracja Busha będzie kojarzyć się przede wszystkim z tym, co zaprezentowano w 2002 r., z wojną prewencyjną jako filarem koncepcji obronnej państwa lub promowaniem demokracji i wolności, także przy użyciu siły.

Jak zatem – w zestawieniu z programami Busha – należy oceniać opublikowaną 27 maja 2010 r. Strategię Bezpieczeństwa Narodowego Baracka Obamy. Niewątpliwie jest to dokument imponujący, przynajmniej pod względem objętości. Na ponad 60 stronach („doktryna Busha” liczyła nieco ponad 30 ss.) wyłożono coś, co należy uznać za prezentację nie tylko strategii w zakresie bezpieczeństwa, ale przede wszystkim celów i charakteru amerykańskiej polityki zagranicznej: w dokumencie tym pomieszczono bowiem tyle tematów, zagadnień, priorytetów, odniesień do metod





i środków działania na arenie międzynarodowej, problemów i wyzwań stojących przez Ameryką. Jest to też wykładnia przepojona bogatą retoryką, odwołującą się do amerykańskiego idealizmu i misji dziejowej Stanów Zjednoczonych. Wiele w niej powtórzeń, nawiązywania do tych samych wątków, metod i tematów. I na pewno nie ma charakteru przełomowego, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co już wiemy o kształcie i taktyce polityki zagranicznej administracji Obamy. Choć w wielu miejscach nawiązuje do priorytetów, stawianych w polityce bezpieczeństwa przez ekipę Busha, to jednak czyni tak głównie po to, aby nakreślić inne metody realizacji tych celów. Lub po to, aby się uporać z trudną spuścizną po swoim poprzedniku.

Już we wstępie pojawia się wątek dominujący – „strategia naszego bezpieczeństwa narodowego musi koncentrować się na odbudowie amerykańskiego przywództwa” – jak wiadomo – tak nadszarpniętego w poprzednich latach. Zresztą – czytamy – „także „bezpieczeństwo globalne zależy od silnego i odpowiedzialnego przywództwa amerykańskiego”. Administracja Obamy zamierza to czynić wzmacniając fundamenty tego przywództwa, głównie na płaszczyźnie wewnętrznej, gdyż „nasze bezpieczeństwo rozpoczyna się w kraju”. Przywództwo USA w świecie zależy będzie od siły gospodarczej, przewyciężenia - jak podkreślono – największego od czasu wielkiego kryzysu załamania gospodarczego. Potrzeba też rozwoju edukacji, nauki, pozyskiwania nowych źródeł energii. A zatem nacisk postawiono na umacnianie pozycji Ameryki jako państwa o unikalnych, narodowych walorach – odbudowującego ową „soft power”, przez ostatnie dziesiątki lat współdecydującą przecież o amerykańskiej roli w świecie.

Odwołanie do „miękkiej władzy” znajdujemy i w tych fragmentach dokumentu, gdy mowa o posłannictwie Stanów Zjednoczonych: promowaniu w świecie demokratycznych wartości i zasad. Inaczej niż widziała to administracja Busha, która nie wykluczała krzewienia demokracji siłą, pierwszy czarnoskóry prezydent mocno podkreśla, że najlepszą drogą promowania wartości będzie ich przestrzeganie we własnym kraju. „Amerykańskie przywiązanie do demokracji, praw człowieka i praworządności stanowi podstawę naszej



siły i wpływów w świecie”. Stąd np. odrzucenie „tortur, które są niezgodne z naszymi wartościami”, a przede wszystkim „są nieskuteczne i alienują Stany Zjednoczone w świecie”.

Równie silnie zaakcentowano w nowej koncepcji strategicznej konieczność szerokiego współdziałania w świecie. Nie jest to tylko proste odrzucenie unilateralnej taktyki, praktykowanej przez Busha – zwłaszcza w czasie jego pierwszej kadencji, ale wynika z uznania realiów obecnych czasów. Choć Stany Zjednoczone pozostają najpotężniejszym państwem w świecie, to jednak nie są w stanie podołać wszystkim, tak zróżnicowanym wyzwaniom globalnym. Zrozumiał to już wcześniej prezydent Bush, obecny gospodarz w Białym Domu nie ma już żadnych wątpliwości, że skuteczne zaangażowanie na arenie międzynarodowej wymaga szerokiej współpracy. Dlatego dialog i dyplomacja stały się atrybutem administracji Obamy. Znalazło to potwierdzenie w Strategii, gdzie czytamy: „Dyplomacja stanowi fundament naszego bezpieczeństwa narodowego i naszych zdolności obronnych”.

Z mocą podkreślono więc, że współpraca ma obejmować zarówno instytucje międzynarodowe, jak i „naszych bliskich przyjaciół i sojuszników w Europie, Azji, Amerykach i na Bliskim Wschodzie”. Wspomina się również - silniej niż dotąd - o konieczności budowy „głębszego i bardziej skutecznego partnerstwa z innymi kluczowymi i wpływowymi centrami, w tym Chinami, Indiami i Rosją”. Warto jednak zauważyć, że choć autorzy *National Security Strategy* piszą o relacjach z sojusznikami europejskimi jako o „kamieniu węgielnym zaangażowania USA w świecie i katalizatorze działań międzynarodowych”, to jednak Europie poświęcają niemal tyle samo miejsca co współpracy z sojusznikami w Azji i Ameryce Północnej. Jedynie Wielka Brytania, Francja i Niemcy zostały wymienione z nazwy jako najbliżsi sojusznicy Ameryki, z którymi – jak czytamy - „blisko i regularnie współpracujemy”. Zaś jedno zdanie odwołujące się do procesu pogłębienia integracji europejskiej ma służyć podkreśleniu, że Ameryka czeka na Unię Europejską, ale gotową odegrać rolę jej strategicznego partnera na arenie międzynarodowej. Pozostaje pytanie, czy UE chce taką rolę pełnić i będzie w tym kierunku działać.





Gdy zaś mowa o NATO, to zaledwie jednym zdaniem skwitowano utrzymanie zobowiązania Stanów Zjednoczonych w ramach art. 5 traktatu waszyngtońskiego, który pozostaje „fundamentem naszego bezpieczeństwa zbiorowego”. Trochę mało, jeśli wziąć pod uwagę niepewność i wątpliwości, jakie w związku z art. 5 wyrażają niektóre państwa członkowskie NATO – zwłaszcza z Europy Środkowo-Wschodniej.

W odniesieniu do Rosji widzimy ciąg dalszy „resetowania” stosunków. Czytamy zatem o woli „pogłębienia partnerstwa” i budowaniu relacji „opartych na wspólnocie interesów”. Za najważniejszą kwestię uznano negocjacje rozbrojeniowe i działania na rzecz nieprolifracji oraz ograniczenia broni nuklearnej. Mówi się też o współpracy gospodarczej i handlowej, o zainteresowaniu USA budowaniem Rosji silnej, pokojowej, respektującej międzynarodowe zasady. Mamy tu zatem do czynienia z „powabną” retoryką i zwrotami mocno już utartymi. Podobnie jest zresztą w wielu innych fragmentach strategii, gdzie wiele jest owego „wishful thinking” i pięknych deklaracji. Dotyczą one m.in. regionu bliskowschodniego, gdzie – jak czytamy – Stany Zjednoczone „będą dalej działać na rzecz rozwiązania konfliktu izraelsko-arabskiego”, tak aby zostały zrealizowane „słuszne aspiracje Izraela i Palestyńczyków do bezpiecznego i godnego życia”.

Silniej niż było to w przypadku administracji Busha obecna strategia akcentuje rolę organizacji międzynarodowych. Choć dostrzega słabości różnych instytucji, to jednak podkreśla ich rolę w rozwiązywaniu globalnych problemów. Co więcej, wyraźnie formułuje wolę działania na rzecz wzmocnienia instytucji międzynarodowych, gdyż „muszą one skuteczniej, z silniejszym głosem i większą odpowiedzialnością występować w imieniu świata XXI wieku”. Ale to działanie na rzecz wzmocnienia instytucji międzynarodowych nie może być zadaniem tylko dla Stanów Zjednoczonych, ale obowiązkiem wszystkich podobnie myślących narodów – podkreślają autorzy strategii.

Niezmiennie pozostaje przekonanie, że Stany Zjednoczone muszą zachować przewagę militarną, pozostać najsilniejszym



w świecie mocarstwem militarnym, gdyż stanowi to podstawę bezpieczeństwa Ameryki, jej sojuszników oraz partnerów, jest ważne dla stabilizacji różnych regionów świata. Ale równocześnie największy dystans dzieli *National Security Strategy* od założeń „doktryny Busha”, jeśli idzie o kwestię użycia owej siły militarnej. Wprawdzie założono, że „użycie siły jest czasami konieczne”, to jednak stanie się to dopiero po wykorzystaniu wszelkich opcji, innych niż wojna. Musi to stać się przy zachowaniu międzynarodowych standardów i zasad. Położenie tak silnego akcentu na działania dyplomatyczne, odwoływanie się do norm i instytucji, służących pokojowemu rozwiązywaniu konfliktów powoduje, że zupełnie inaczej, wręcz niegroźnie brzmi passus o możliwości unilateralnego użycia siły, jeśli to będzie nieodzowne dla obrony Ameryki i jej interesów. Natomiast nie ma już mowy o wojnie prewencyjnej, stanowiącej przecież istotę „doktryny Busha”.

Inaczej też rozłożono akcenty we fragmentach dotyczących głównych zagrożeń dla amerykańskiego bezpieczeństwa. Dokument wprawdzie kilkakrotnie wspomina o groźbie terroryzmu, odwołując się przede wszystkim do Al Kaidy (pojawiają się zresztą nowe wątki, jak terroryzm wewnętrzny ze strony obywateli amerykańskich oraz zagrożenie dla cyberprzestrzeni), ale równie silnie podkreśla się niebezpieczeństwa związane z bronią masowego rażenia, jej proliferacją, wyzwania związane z programami nuklearnymi Iranu i Korei Płn. Z kolei Afganistan i Pakistan zostały uznane za „epicentrum zbrojnego ekstremizmu uprawianego przez Al Kaidę”. Mówiąc o Iraku dokument powtarza założenia planu Obamy z lutego 2009 r., gdy to zapewniono, że celem polityki USA jest nie tylko wycofanie żołnierzy amerykańskich, ale przede wszystkim przekazanie pełnej suwerenności narodowi irackiemu.

Gdyby szukać myśli przewodniej nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, jakiegoś charakterystycznego dla niej akcentu i tonu, to niewątpliwie jest nim wola i szeroka oferta współpracy, działań dyplomatycznych i prowadzenia dialogu międzynarodowego. Nie odbiega więc ona w niczym od charakteru uprawianej przez administrację Obamy polityki zagranicznej. Tyle tylko, że teraz ujęta została ona w formułę doktryny. Tym samym nie



stanowi żadnego przełomu w stosunkach międzynarodowych i z pewnością nie oznacza żadnej rewolucji, jak stało się to w 2002 r. pod wpływem „doktryny Busha”.

Czy jednak doktryna Obamy okaże się bardziej skuteczna i mniej groźna dla amerykańskich interesów - trudno dziś przesądzić. Jednego w każdym razie można być pewnym. Prezydent Obama, mając już pełną świadomość ograniczonych możliwości działania Stanów Zjednoczonych i to mimo ich niekwestionowanego potencjału, stara się na nowych zasadach odbudować pozycję Ameryki w świecie. Próbuje odtworzyć to, co kiedyś było niekwestionowanym atutem państwa amerykańskiego – jego „soft power”. Wszystko po to, aby Amerykę podziwiano i poważano, aby jej przywództwo w świecie nie było kwestionowane. Wreszcie, aby stała się ponownie rodzajem magnesu przyciągającego do współpracy i dialogu. Czy taka polityka przyniesie efekty i pozwoli solidnie zmierzyć się z głównymi wyzwaniami współczesnego świata – dzisiaj jest to jeszcze wielka niewiadoma. Najnowsza koncepcja strategiczna z pewnością takich wątpliwości nie rozstrzygnie, ona tylko odzwierciedla głębokie przekonanie obecnej administracji, że w tym kierunku należy podążać.





Nr 40/2010

INSTYTUT ZACHODNI  
im. Zygmunta  
Wojciechowskiego  
Instytut Naukowo-  
Badawczy,  
Poznań

ul. Mostowa 27 A,  
61-854 Poznań,  
tel. 061/852 76 91,  
fax 061/852 49 05,  
e-mail: [izpozpl@iz.poznan.pl](mailto:izpozpl@iz.poznan.pl),  
[www.iz.poznan.pl](http://www.iz.poznan.pl)



#### CZASOPISMA INSTYTUTU ZACHODNIEGO:

- „Przegląd Zachodni”
- „WeltTrends. Zeitschrift für internationale Politik”
- „Siedlisko. Dziedzictwo kulturowe i tożsamość społeczności na Ziemiach Zachodnich i Północnych”
- „Biuletyn Instytutu Zachodniego”

#### NOWOŚCI WYDAWCZNICZE INSTYTUTU ZACHODNIEGO:

- Moje Niemcy – moi Niemcy. Odpominania polskie, red. H. Orłowski, Poznań 2009;
- K. Malinowski, Przemiany niemieckiej polityki bezpieczeństwa 1990-2005, Poznań 2009;
- M. Rutowska, Lager Głowna. Niemiecki obóz przesiedleńczy na Główniej w Poznaniu dla ludności polskiej (1939-1940), Poznań 2009;
- Transformacja w Polsce i Niemczech Wschodnich. Próba bilansu, red. A. Sakson, Poznań 2009;
- Ślężacy, Kaszubi, Mazurzy i Warmiacy – między polskością a niemieckością, red. A. Sakson, Poznań 2008;
- B. Koszel, Polska i Niemcy w Unii Europejskiej. Pola konfliktów i płaszczyzny współpracy, Poznań 2008;
- P. Cichocki, Wybrane problemy badań nad tożsamością europejską, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 53/2009;
- B. Koszel, Integracja Turcji z Unią Europejską z perspektywy RFN, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 52/2009;
- I. Romiszewska, Banki niemieckie w Unii Europejskiej, „Zeszyty Instytutu Zachodniego: nr 51/2009, Poznań 2009;
- J. Kiwerska, Osłabione mocarstwo. Pozycja USA w świecie po ośmiu latach prezydentury George’a Busha, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 50/2008, Poznań 2008;
- P. Kubiak, Początki wielkiej koalicji w Niemczech (2005), „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 49/2008, Poznań 2008;
- M. Götz, Czynniki wzrostu gospodarczego związane z wiedzą. Niemcy na tle Unii Europejskiej, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 48/2008, Poznań 2008.